



EDWARD GRIEG
sławny kompozytor norwesk, który zmarł
w Bergen.

Miasto pogrążone w głębokim śnie. Poczcwi Paryżanie po trudach dnia i nocy spoczywają jeszcze w miękkich objęciach Morfeusza, przed dworcem chodzi tam i nazad uroczystym krokiem i z urzędową miną „czujne oko prawa i porządku publicznego“, zaspani robotnicy w wystrzępionych, niebieskich bluzach skrapiają i zamiatają ulice, tu i ówdzie drzemą pod murami kamienic bezdomni ulicznicy o typowych twarzach paryskich „gamins“ — brudni, bosi, obdarci.

Po półgodzinnym marszu jestem w „Quartir latin“. Dzień zapowiada się śliczny; orzeźwiający, chłodny wietrzyk rozpędza lekkie, białe chmurki, słońce rzuca swe pierwsze promienie na dachy domów i ślizgając się po gzemsach, zagląda ukradkiem przez małe okienka do nędznych mansard studenckich. Widać, nie bardzo było zbudowane tem, co tam widziało w czasie swej wędrówki, bo skryło się wstydlawie za jakąś chmurkę i dopiero po upływie długiego czasu wychyliło się ze swej kryjówki, tym razem już jednak, aby odbyć przegląd mieszkańców, położonych na niższych piętrach.

Prawdopodobnie z odwiedzin w izdebce Wićka Pierwiastkowicza także nie najlepsze odniosło wrażenie.

Wicek, mój kolega szkolny był dzielnym matematykiem i stąd w zupełności zasłużył na przydomek „Pitagorasa“, pod którym powszechnie był znany wśród młodzieży naszego miasta, a nawet ci, co z P. przelotną tylko zawierali znajomość, nie znali wcale jego prawdziwego nazwiska, wiedzieli, że Wicek — to Pitagoras. Zdarzyło się nawet że panna Wandzia, zakochawszy się „na ślizgawce“ na zabój w Wiccu, napisała mu na drugi dzień — jak to zawsze w takich razach bywa — wzruszający liścik miłosny i zaadresowała go w najlepszej myśli; „Wicek Pitagoras“, sądziła bowiem widocznie, że „Pitagoras“ — to nazwisko rodzinne mojego kolegi.

Otóż tenże Wicek Pierwiastkowicz, otrzymawszy bardzo okazałe stypendyum, wyjechał przed rokiem do Paryża dla ukończenia swoich studyów matematycznych w Sorbonnie. Jaki żywot

wiódł dotąd w Paryżu, nie wiem, ale jestem mocno o tem przekonany, że zachowywał się nienagannie, bo przecież Wicek zamierzał zrazu poświęcić się teologii, służyć Bogu i klepać pacierze i dopiero na usilne nalegania profesora Sinusowskiego, który, ceniąc jego niezwykle zdolności na polu matematyki, przepowiadał mu słusznie wielką w tym kierunku przyszłość — postanowił kształcić się w naukach matematyczno-fizycznych. Że atoli nie bardzo świątobliwie żył nad Sekwaną, to się wnet okaże.

Ponieważ znałem adres Wicka i ponieważ z braku odpowiednich funduszy nie mogłem nawet tymczasowo zamieszkać w hotelu, powziąłem zamiar nawiedzenia poczcwiowego matematyka i przypomnienia mu obowiązków, jakie nakłada staropolska gościnność. (C. d. n.)

St. Ul. . . a.

Wierzenia ludowe.

Zboże,

Sprzet zboża dokonany, nie od rzeczy będzie podać garść wierzeń ludowych, odających się do rolnictwa i uprawy zboża.

Wielkie i doniosłe znaczenie miało rolnictwo u ludzi od najdawniejszych czasów. Zaopatrując ich bowiem w zboża i dając im tem samem najpewniejszy i najłatwiejszy sposób do życia, nietylko się stało główną podstawą ich bytu, ale nadto dopomogło do zdobycia dóbr materialnych, które znowu przyczyniły się do rozwinięcia umysłu, a temsamem wpłynęły na złagodzenie obyczajów. Że dla nas jest dziś rzeczą niepojętą, żeby ludzie mogli istnieć bez zboża, czyli bez chleba i wogóle bez pokarmów roślinnych, to już nic dziwnego. W starożytności nie mniejszą przywiązywano do nich wagę, poprostu bowiem mniemano, iż zwierzęta, które się żywiły zbożem, tak dalece udoskonalili swój organizm, że pod wpływem tego pożywienia, mogły z czasem przekształcić się w ludzi. Okoliczność tę, zupełnie już obrazowo, charakteryzuje pewne podanie tybetańskie. Powiada ono, że kiedy z świętej góry, Sumeru, spadło zboże i rozkrzewiło się po ziemi, to małpy, które jadły je, przeobraziły się stopniowo w ludzi i stały się protoplastami miejscowych plemion.

Jest również i u nas podanie, na tle którego Górecki osnuł jedną z wybornych bajek swoich, że zboże ma święty początek, gdyż pochodzi z nieba. Bo kiedy Pan Bóg wygnał człowieka z raju, to kazał aniołom swoim wziąć różnego zboża i rozsypać im na drodze jego — ale człowiek przeszedł obojętnie, bo nie wiedział, co z tem zrobić. Dopiero nadbiegł dyabeł i spostrzegłszy ziarna, domyślił się, że je Pan Bóg umyślnie rzucił i że w nich musi być jakaś własność szczególna. Zakopał więc je w ziemi, zabronował, napłut, przydeptał i polecał uszczęśliwiony, że pokrzyżował Boskie zamiary. Tymczasem na wiosnę zboże urosło, wydało kłosa i ziarna, człowiek poznał je i zaczął się nimi żywić, a dybeł, ku wielkiemu swemu umar-

twieniu, przekonał się, że nietylko nie przeszkodził ale owszem dopomógł rozkrzewieniu się zboża dla korzyści człowieka. Ciekawa to rzecz, że dzikie ludy zapatrują się zwykle na uprawę roli, jako na coś nadzwyczajnego. Jest to znane powszechnie i przez etnografów przytaczane opowiadanie, Francuza, który mieszkał w Ameryce Północnej i miał sposobność przysłuchiwać się spostrzeżeniom i wnioskom pewnego indyjskiego wodza. Zważcie — mówił on do swoich rodaków — że biali żywią się ziarnem, my zaś mięsem, mięso potrzebuje miesięcy trzydzięści i więcej — ażeby dobiec odpowiedniej dojrzałości a i tak z jakimież to trudnościami bywa nieraz połączona zdobycie jego! podczas gdy te dziwne ziarna, które biali sypią do ziemi już w parę miesięcy wracają się im w stokrotnem powiększeniu. Mięso ma cztery nogi do uciekaniu przed nami, my mamy tylko dwie do ścigania, — ziarna zaś nietylko nie uciekają, owszem rosną i mnożą się w tem miejscu właśnie, gdzie je biali posypią, a zima, która jest dla nas chwilą najuciążliwszych łowów, dla nich jest owszem wypoczynkiem! Więc też mają oni dużo dzieci i żyją dłużej, niż my. Ostrzegam przeto każdego, kto mię słyszy, że zanim zmurszeją ze starości cedry osady naszej i zanim klony zaprzestaną w dolinach sączyć z siebie cukier, plemię siewców ziarna zniszczy plemię zjadaczy mięsa, jeżeli ci nie wstąpią w ślady tamtych i nie zaczną tak samo sypać ziarna do ziemi. —

Ale czyż można się dziwić dzikim Indyanom, że w rolnictwie widzą coś cudownego. Wszak starożytni Rzymianie i Grecy stali na wysokim stopniu kultury, a mimo to, nie umieli sobie objaśnić: jakim sposobem ziarno wrzucone do ziemi, kiełkuje, rośnie i kształci się na podobieństwo rośliny macierzystej, z której wzięło początek? Więc też bogom przypisywali cały ten proces tajemniczy, a w skutkach swoich doniosły. Z tąd szereg bóstw, które prócz głównej bogini Cerery, czyli greckiej Demeter, miały w opiece różne chwile rozwoju i dojrzewania zboża. Dawało mu więc jedno z nich soki pożywne, drugie czyniło je silnem i krzaczastem, inne jeszcze pomagało kłosisieniu się, kwitnieniu, broniło od śnieci i t. d. Każde zaś miało na cześć



MORD W WENECYI.

Aresztowana rozwiedziona hr. Tarnowska.